

Zygmunt Szultka

Profesor Gerard Labuda w moich wspomnieniach

Acta Cassubiana 15, 188-194

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zygmunt Szultka
Słupsk

Profesor Gerard Labuda w moich wspomnieniach

Kiedy w styczniu 1983 r. otrzymałem ocenzone polecony list od Profesora Bogdana Wachowiaka z propozycją podjęcia pracy w Zakładzie Historii Pomorza Instytutu Historii PAN w Poznaniu, radość moja była pełna, gdyż od 15 grudnia 1981 r. mój pracodawca – Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego był prawnie zawieszony, zaś lokal Stacji Naukowej i Oddziału PTH w Słupsku zamknięty i opieczętowany. Rychło odpowiedziałem na list, którego inicjatorem był prawdopodobnie prof. Wachowiak i od 1 lutego 1983 r. byłem formalnie pracownikiem Instytutu Historii PAN w Warszawie, Zakład Historii Pomorza w Poznaniu. Moim bezpośrednim przełożonym został Profesor Gerard Labuda. Odtąd do 2006 r., a właściwie do śmierci Profesora pozostawałem z nim w stałych, bezpośrednich lub pośrednich kontaktach, niekiedy nieograniczających się do spraw ściśle służbowych, ale zawsze szczerych i otwartych. Profesor odwzajemniał się mi oraz prof. Wachowiakowi podobnym stosunkiem. Jest to dość długi okres, który upoważnia mnie do przekazania kilku osobistych spostrzeżeń o Profesorze. Jestem świadom, że w nieporównanie większym stopniu tytuł do tego posiada prof. Wachowiak, który najdłużej, bo od 1950 r. pozostawał w najbliższych kontaktach naukowych i życiowych z Profesorem Labudą. Szczególnie w ostatnich latach życia, kiedy warunki zdrowotne ograniczały lub nie pozwalały Profesorowi na wizyty na Zwierzynieckiej 18. Tę serdeczną przyjaźń Profesor bardzo sobie cenił.

Nie zamierzam kreślić charakterystyki dokonań naukowych Profesora, bo zrobili to już kompetentniej inni i jego wkład w poznanie dziejów narodu, państwa i Kościoła polskiego oraz dziejów powszechnych, zwłaszcza Słowiańszczyzny i Zakonu Krzyżackiego, będzie zapewne przedmiotem rozważań i dyskusji niejednego jeszcze badacza i gremium, ale chcę zwrócić tylko uwagę na niektóre charakterystyczne cechy osobowe i działania naukowe Profesora.

Pierwszy raz ujrzałem Profesora w czasie studiów historycznych w Toruniu w 1963 r., kiedy przyjechał jako recenzent pracy doktorskiej. Jego obecność

w murach toruńskiej uczelni była wydarzeniem nie tylko dla grona jej wykładowców, ale również dla niektórych studentów, którzy w czasie zajęć nieraz słyszeli o ogromnym dorobku Profesora Labudy, cieszącym się wówczas w toruńskim środowisku historycznym wielkim uznaniem i autorytetem naukowym. Pierwszy raz zetknąłem się natomiast z Profesorem w upalne lipcowe popołudnie 1972 r., kiedy jadąc z Poznania do Wejherowa, zatrzymał w Słupsku i w siedzibie Oddziału i Stacji Naukowej PTH wygłosił wykład o księciu Świętopelku II. Dyskusji po wykładzie nie było, bo nikt nie był kompetentny i nie odważył się dyskutować z Profesorem. Ta rozwinęła się dopiero po wyjeździe Profesora i nie dotyczyła tyle jego wykładu, co osoby. Wszyscy byliśmy zachwyceni klarownością wykładu i porażeni skromnością i uprzejmością szczupłego, drobnego Profesora, jakby zakłopotanego i skrępowanego „delikatnym” bagażem, który miał ze sobą.

W czasie drugiego lub trzeciego zabrania pracowników Zakładu Profesor delikatnie, jakby mimochodem, skierował pod moim adresem słowa, że będziemy pracowali i pisali ściśle z wymową źródeł historycznych i dopiero przed publikacją zastanowimy się – gdy zajdzie potrzeba – nad ostateczną redakcją maszynopisu. Przyznam szczerze, że zrazu nie rozumiałem, iż powtórzył on sakramentalne słowa Leopolda von Renkego: „pragnie ona [historia] powiedzieć tylko, jak to rzeczywiście było (er bloss will sagen, wie es eigentlich gewesen)”. Wyraz *eigentlich* Profesor tłumaczył jako „rzeczywiście” i dlatego dodał uwagę o ewentualnym rozpatrywaniu niektórych spraw przed edycją. Ta dyrektywa metodologiczna była wiążąca i bardzo charakterystyczna dla całego jego piśmiennictwa historycznego. Wymagał jej przestrzegania również przeze mnie. Sens wypowiedzi Profesora uzmysłowilem sobie dopiero w pociągu z Poznania do Słupska. Nieskromnie dodam, że dyrektywę tę znałem i starałem się stosować ją już wcześniej, o czym przekonał się również Profesor, bo krótko po podjęciu pracy w Zakładzie stanąłem przed obliczem *zastępcy* prokuratora wojewódzkiego w Słupsku oskarżony o „antysocjalistyczne” treści w przygotowanym wcześniej do druku maszynopisie *Pomniki i miejsca pamięci narodowej w Słupsku*. Z kolei w 1984 r. przyjechała do Profesora trzyosobowa delegacja „działaczy społecznych” ze Słupska, aby poskarżyć się na mnie i przedstawiła odtworzone z nagrania „herezje”, jakie wygłosiłem w kwietniu tego roku na temat smoldzińskiego pastora Michała Pontanusa (Brüggemanna, 1582–1654), redaktora i tłumacza na język polski *Małego katechizmu* Marcina Lutra. Profesor zażądał wyjaśnień, których ostatecznym rezultatem była rozprawa habilitacyjna. Piszę o tym z dwóch powodów, aby podkreślić, że w obu przypadkach uzyskałem od Profesora mądre i skuteczne rady odnośnie do dalszego postępowania, które pozwoliły mi wyjść z zagrożeń obronną ręką, oraz dlatego że z dyplomatycznych mądrych i przezornych rad Profesora skorzystałem nie tylko ja, ale również wiele innych osób, niekoniecznie zagrożonych politycznie. Nie jestem w stanie bliżej określić ich liczby. Faktem historycznym jest, że od lat osiemdziesiątych do około 2000 r. w każdą pierwszą środę miesiąca

na przybycie Profesora czekało na Zwierzynieckiej zazwyczaj kilka osób, które liczyły na jego dobre rady w najróżniejszych, dla każdej z nich bardzo ważnych sprawach. Najczęściej byli to młodzi badacze, niekoniecznie historycy i niekoniecznie z Poznania. Ile Profesor udzielił dobrych rad, ile – często bezimiennie – przeczytał maszynopisów czy przeanalizował konspektów, ile poświęcił na to czasu i energii i w ten sposób wyświadczył dobra w czasie swego długiego życia, tylko Pan Bóg wie i jest w stanie docenić, zwłaszcza że czynił to zawsze z wielką kulturą i życzliwością. Tej dobroci i pomocy z jego strony niemalże doświadczyłem, przede wszystkim w przygotowaniu edycji *Źródła do kaszubsko-polskich aspektów dziejów Pomorza Zachodniego do roku 1945* pod red. B. Wachowiaka.

W tym miejscu – nie wnikając w szczegóły – pragnę też podkreślić wielki i nie zawsze odnotowany wkład Profesora w opracowanie koncepcji wielu dzieł, głównie wielotomowych i zbiorowych, których był często redaktorem oraz organizatorem zespołów badawczych, gdyż miał duże zdolności organizatorskie, zaś dzięki wrodzonej dobroci i łagodności oraz niekwestionowanemu autorytetowi naukowemu łatwo zjednywał sobie ludzi. Poza tym nie mogłem pojąć, że z reguły trafnie przypuszczał, czy wręcz wiedział, czego można się po kim spodziewać i na co kogo stać. W tych sprawach rzadko się mylił.

Imponujący dorobek naukowy Profesora, którym obdzielić można byłoby kilka profesur, był splotem wielu czynników: pasji badawczej, szybkości czytania i koncentracji, wyjątkowej zdolności i umiejętności głębokiej analizy, jak i integralnej wnikliwej syntezy, znajomości prawie wszystkich języków europejskich, które wynikały z jego fenomenalnej pamięci, jaką go obdarzyła natura. Znajomość procesów, wydarzeń czy postaci historycznych, pełnych, cytowanych bezbłędnie z pamięci opisów bibliograficznych musiały dziwić każdego, mnie niekiedy wprawiały w osłupienie i porażały, bo nie wiedziałem, jak reagować. Niekwestionowanym dowodem jego fenomenalnej pamięci był fakt, że pierwsze reakcje maszynopisów (Profesor od razu pisał na maszynie) były opatrzone często w 70-80 proc. przypisami z pamięci, z podaniem stron i cytatów.

Bardzo ważnym czynnikiem jego przebogatego dorobku był etos pracy. Wydaje się, że praca naukowo-badawcza była głównym celem życia Profesora, w każdym razie wypełniała jego życie w całości. Nie trzeba dodawać, że podchodził do niej z wielką pasją, chciałoby się powiedzieć, angażował się w rozpatrywany problem cały, duszą i ciałem. Jego dewiza: *żyjemy, póki pracujemy* do śmierci pozostała w mej pamięci. On sam zgodnie z nią żył dosłownie do ostatnich godzin swego życia. Chętnie dzielił się z pracownikami Zakładu Historii Pomorza jej owocami. Dlatego na jego posiedzeniach był najczęstszym referentem aż do około 2005 r. Jak każdy człowiek cieszył się i przeżywał swoje wielkie sukcesy i nowe ustalenia badawcze, chociaż radości z nich płynącej nie okazywał na zewnątrz. Wydaje się jednak, że jeszcze głębiej przeżywał, wręcz bolał z powodu krytyki pod jego adresem, zwłaszcza gdy wypływała ona z motywów pozamery-

torycznych, np. nad polemiką wokół *Historii dyplomacji*, recenzji wewnętrznej jednego z badaczy *Historii Kaszubów w dziejach Pomorza*. Tom I. *Czasy średniowieczne*, czy nad niektórymi wątkami dyskusji o roli Gniezna i Poznania w początkach państwa polskiego. Wspominam o tych przykrych aspektach dyskusji, aby podkreślić, że Profesor nie tylko pozwalał na naukową dyskusję i własny, odmienny pogląd, ale do nich nie raz zachęcał. Prawdziwość tych słów potwierdzają liczne recenzje i publikacje polemiczne Profesora, który na pierwszym miejscu starał się ukazać osiągnięcia badacza.

Zakład Historii Pomorza był jego dziełem w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż był jego organizatorem i pierwszym kierownikiem i – co równie ważne – twórcą jego programu naukowo-badawczego. W jego poznańskiej placówce stworzył atmosferę ciepłą i wzajemnego zaufania. Kiedy podjąłem pracę w Zakładzie, jego sekretarka, p. Irena Kandulska „Profesorem” nazywała tylko prof. Labudę, prof. dr. hab. Kazimierza Ślaskiego – „Panem Ślaskim”, prof. dr. hab. Bogdana Wachowiaka – „Panem Bogdanem” itd. Nazwy te oddawały rzeczywistą hierarchię w Zakładzie oraz autorytet i dominującą w nim pozycję prof. Labudy, chociaż on swej wyższości nie okazywał. Był zawsze skromny, zabiegany, życzliwy i – jeśli zachodziła potrzeba – pomocny pracownikom we wszystkich sprawach życiowych. Profesor był wyrozumiały wobec pracowników również w sprawach naukowo-badawczych, ale do określonych granic. W pewnym momencie uznał, że zbyt długo pracuję nad t. II, część 3 (*Pomorze Zachodnie w latach 1648–1815*) *Historii Pomorza* i popędził mnie jeden jedyny raz, mówiąc: *Ja prędzej umrę niż Pan ją napisze*. Co słowa te dla mnie znaczyły, nie muszę pisać. Kiedy po dwóch latach oddałem mu jako redaktorowi cały maszynopis, z biciem serca czekałem na ocenę. Po miesiącu Profesor, przyszedłszy do Zakładu, podszedł bezpośrednio do mnie i powiedział: *Wasta, dobra robota. Tak to rzeczywiście było z tym Pomorzem i Kaszubami pod Hohenzollernami. Niech teraz Niemcy sobie przeczytają. Gratuluję i uściśnął mi dłoń*. Ca ja czulem, nie potrafię wyrazić.

Profesor do końca swych dni interesował się życiem politycznym w kraju i na świecie. Prenumerował najważniejsze dzienniki i tygodniki z tego zakresu. Codziennie otrzymywał kosz korespondencji. Wielokrotnie dzielił się z prof. Wachowiakiem i ze mną swymi uwagami na temat bieżących i minionych wydarzeń. Nie krył swego krytycznego stosunku do stanu wojennego i generała Wojciecha Jaruzelskiego, ale stawiał pytanie: jak potoczyłyby się losy kraju, gdyby go nie wprowadzono, czy przybyłoby towarów na półkach sklepowych? Jeśli stan wojenny – zło – był faktem dokonany – czy nie należało dążyć do jego ograniczenia i likwidacji? Czy odwracanie się plecami do narodu i państwa przyda Polsce powagi i autorytetu i przez to szybciej wyjdzie się z kryzysu? Profesor był propanstwowcem; żywił głęboką miłość i szacunek do państwa polskiego i był przekonany, że swymi badaniami wzmacnia jego społeczny autorytet.

Profesor jak mało kto rozumiał rolę i znaczenie Kościoła w dziejach państwa i narodu polskiego. I ten problem był nieraz przedmiotem wymiany poglądów między nami. Nie chodzi o specyfikację poruszanych kwestii i stanowisk wszystkich uczestników rozmów. Zresztą swój stosunek odnośnie do patronów Polski – św. Wojciecha i św. Stanisława – czy kontrowersji wokół początków Kościoła na ziemiach polskich Profesor wyraził w publikacjach. Żyliśmy i działaliśmy jednak w historycznym dla narodu i Kościoła polskiego i powszechnego czasie pontyfikatu papieża – Polaka, Jana Pawła II i wobec nauczania papieskiego i Kościoła w Polsce w tym czasie nie mógł on – jak prawie każdy Polak – przejść obojętnie. Przywołując w pamięci niektóre wypowiedzi Profesora, ośmielałem się suponować, że stosunek Profesora wobec nauczania – podkreślam nie papieża Jana Pawła II – ale polskiego Kościoła parafialnego był relatywnie krytyczny, czemu impuls dawały niedzielne kazania wysłuchane w kościele, gdy „asystował” lub „towarzyszył żonie”. Jeśli rozumieć przez pobożność „gorliwe wykonywanie praktyk religijnych”, to długo zastanawiałbym się, czy można uważać Profesora za człowieka pobożnego, chociaż wiele elementów głębokiej kaszubskiej pobożności wyniósł z domu rodzinnego, pielęgnował i praktykował do ostatnich dni życia. Sam tego doświadczyłem. Jednocześnie nie można pominąć, że jego stosunek do Kościoła nie był wolny od ambiwalencji. Nieraz dał wyraz – słownie i w publikacjach – swej sympatii i akceptacji ceremoniału kościelnego i praktyk religijnych Kościoła ewangelicko-augsburskiego, w jego ocenie prostszego, demokratyczniejszego i głębiej zanurzonego w Piśmie św. niż Kościół rzymskokatolicki. W jakim zakresie poglądy te były wyrazem obserwacji czy dociekań badawczych, w jakim zaś kwestią wiary – jedynie Profesor i Pan Bóg wiedzieli.

Do annałów przechodzą słowa Profesora, że śni po kaszubsku i zna właściwie tylko jeden język, ojczysty – kaszubski. Wyrażają one stan jego duszy, świadomość i umiłowanie swej małej kaszubskiej Ojczyzny, która w jego pragnieniach i snach graniczyła z *sacrum*. Taką jednak nigdy nie była, nie jest i nie będzie i o tym Profesor doskonale wiedział, i dlatego nie mógł być wobec niej bezkrytyczny. Swą kaszubską Ojczyznę, jej historię i współczesnością interesował się jako uczeń szkoły podstawowej w Luzinie i Gimnazjum Staroklasycznym w Wejherowie. Szczególnie żywo – zdaje się – od 1970 r., kiedy powziął decyzję w sprawie napisania jej dziejów od czasów prehistorycznych po współczesność. Ostatecznie ograniczył się do wieków średnich, gdyż – jak skromnie mówił – „brak źródeł i nie znam źródeł do czasów nowożytnych Prus Królewskich”, zaś w literaturze też „nic nie ma”. Problematyką współczesnych Kaszubów i Kaszub interesował się bardzo żywo do końca życia i co ważniejsze aktywnie uczestniczył – powiem więcej – miał ogromny, choć trudny lub wręcz niemożliwy do wymiernego określenia – wpływ na rozwój całego ruchu kaszubskiego od końca lat pięćdziesiątych minionego stulecia po rok 2010. Z jego najczęściej inicjatywy sprawy kaszubskie były przedmiotem środowowych oficjalnych spotkań na Zwie-

rzynieckiej, w czasie których referował historiograficzne i metodologiczne założenia *Historii Kaszubów* oraz nieoficjalnych, w mniejszym gronie, w czasie których rozpatrywaliśmy bieżące sprawy kaszubskie. W tych ostatnich Profesor był doskonale zorientowany, ponieważ czołowi działacze ruchu kaszubskiego dosłownie prześcigali się w zasypywaniu go listami i telefonami w tych sprawach. Odnosiłem wrażenie, że były okresy, iż czuł się nimi zmęczony. Ci zaś z reguły oczekiwali od Profesora aprobaty i „błogosławieństwa” dla swych nie zawsze zdrowych pomysłów, zaś gdy przypuszczali, iż takowego nie otrzymają, czuli się zobowiązani go o nich poinformować. Ja, nie uczestnicząc aktywnie w ostatnich latach w gremiach naczelnych władz Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i Instytutu Kaszubskiego, dzięki stałym kontaktom z senatorem Kazimierzem Kleińą z reguły znałem ich awers i rewers.

Nie byłoby zgodne z wolą Profesora gdybym podjął próbę prezentacji niektórych spraw, zwłaszcza że większość poznałem tylko z ustnego przekazu i mógłbym je zniekształcić, przedstawić jednostronnie i częściowo. Ograniczę się więc do wskazania głównych problemów rozwoju ruchu kaszubskiego w ocenie Profesora, który z największą dezaprobatą wyrażał się o wszelkich skrajnościach, w tym inicjatywach zrodzonych poza statutowymi organami Zrzeszenia. Za bardzo szkodliwą i nieprzemyślaną uważał ideę stworzenia kaszubskich partii politycznej lub /i/ komitetu wyborczego do parlamentu. Prawdziwą radość wzbudzały natomiast informacje o postępach kaszubskiego szkolnictwa szczebla podstawowego i średniego oraz o coraz wyższym wskaźniku Kaszubów z dyplomami szkół wyższych. Nie muszę dodawać, że największe zainteresowanie wzbudzały postępy w zakresie badań historycznych i językoznawczych. Rozwój obu, ale głównie tych pierwszych starał się stymulować. Uważał bowiem, że Kaszuby są tam, gdzie są Kaszubi, ci zaś są i będą trwali dopóki – dopóty z własnej nieprzymuszonej woli będą pielęgnowali, podtrzymywali i pogłębiali swą tożsamość i odrębność etniczno-grupową, której najważniejszymi cechami były, są i będą: własny język ojczysty, umiłowanie swej małej Ojczyzny, rozwój szeroko pojętej oświaty i kultury oraz wierność Bogu i Kościołowi. Na poparcie zasługują wszystkie inicjatywy i działania wzmacniające chociażby jeden z tych czynników. Każdy z nich z osobna i wszystkie razem kształtują kaszubską świadomość społeczną i zadecydują, czy Kaszubi w przyszłości zginą w polskiej i europejskiej mozaice demograficznej, czy też pozostaną gospodarzami swej małej Ojczyzny.

Wielokrotnie odnosiłem wrażenie, że Profesor uważał się za człowieka spełnionego i szczęśliwego, chociażby z tego względu, że trzykrotnie uniknął przedwczesnej śmierci. Nawet w ostatnich latach życia, kiedy z własnej woli mieszkał samotnie, gdyż chciał koniecznie być i był do ostatniego dnia życia samodzielny i nie chciał korzystać z pomocy nawet najbliższej rodziny. Ze wszystkiego zdawał się być zadowolony, niekiedy jakby mimochodem wspominał, że siły fizyczne coraz mniejsze, trudności ze snem coraz większe, słuch i wzrok coraz słabsze,

nawet pamięć zaczęła niedomagać, bo ilość przypisów z pamięci była coraz mniejsza. Cieszył się z każdego dnia i na nic nie narzekał. Niejeden raz słyszałem, jak mówił: *Wszystko jest dobrze, jutro będę starszy i może być tylko gorzej*. Więc pracował, wielokrotnie ponad siły i miarę. Pisał na maszynie, choć palce bolały i odmawiały posłuszeństwa.

Zgodnie z ostatnią wolą doczesne szczątki Profesora spoczęły na ukochanej ziemi kaszubskiej – w Luzinie, chociaż szczęśliwszym czułby się, gdyby było to Wejherowo, do którego przez całe życie miał ogromny sentyment.